

IV Obóz koncentracyjny Görlitz

1. Wstęp.

Obóz koncentracyjny Görlitz położony był na lewym brzegu Nysy, na południe od miasta Görlitz. Obok obozu wznosiła się wysoka skarpa (prawdopodobnie po jakimś wyrobisku). Podobno obóz był przeznaczony do pracy w zakładach remontowych taboru kolejowego. Dokładnie nie wiem, gdyż w obozie tym przebywaliśmy niecałe dwa dni.

Pomimo że był to obóz pracy panował tam wyjątkowy rygor. Władze obozowe były okropnie agresywne. Widziałem, że Lagerälteste (lagrowy) chodził z psem, czego nie spotkałem w żadnym obozie. Zauważyłem jeden wypadek, kiedy ów lagrowy puścił psa na ślaniającego się więźnia. Na pewno go zagryzł, bo więzień nie ruszał się.

W obozie podobno było dużo Żydów z Węgier. Jakie były inne narodowości tego nie wiem. Obok obozu męskiego znajdował się mały obóz kobiecy. Wyżywienie w obozie było chyba bardzo nędzne, ponieważ dużo więźniarek było wyjątkowo wychudzonych, będących u granic wytrzymałości fizycznej.

2. Pobyt w Görlitz

W KL Görlitz przebywaliśmy od 11.02.1945 do 12.02.1945 r.

Byliśmy, jak gdyby wydzielonym obozem, ponieważ nie podlegaliśmy komendanturze, ani władzom obozowym Görlitz. Nadal naszym komendantem był nasz dotychczasowy komendant i władze obozowe były nasze.

Z obozu Görlitz wydzielono dla nas dwa bloki, w których nas ulokowano. Bloki znajdowały się blisko drutów ogrodzeniowych, od strony obozu żeńskiego.

Posiłki wydawano z naszej kuchni obozowej. Na apel przyszedł nasz komendant. Na podstawie tego faktu stwierdziliśmy, że długo tu nie będziemy przebywać. W przeciwnym razie włączono by nas do obozu. Z obserwacji obozu i jego wyjątkowo bandyckiego terroru nie mieliśmy chęci tu pozostać.

Przypominam sobie jeden incydent. Rano na śniadanie wydano porcję zupy i pajdkę chleba. Część z nas jadła na bloku a inni na dworze. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że po sąsiedzku za drutami znajduje się obóz kobiecy. W pewnym momencie spostrzegliśmy, że niektóre dziewczyny na nasz widok zaczęły podbiegać bliżej drutów i pokazywać na buzie, że są głodne. Rzeczywiście były wychudzone i „niedoubierane”, a niektóre prawie nagie, okryte jedynie jakimiś łachmanami.

Pomimo że sami byliśmy nie bardzo najedzeni, nie wytrzymaliśmy i zaczęliśmy łamać pajdki chleba i rzucać poza druty. Trzeba było mocno rzucać, gdyż były dwa rzędy drutów pod prądem z pośrodku wydeptaną ścieżką dla strażników. Kiedy dziewczęta zobaczyły, że rzucały chleb, coraz więcej zaczęło podbiegać pod druty. Całe zdarzenie zauważył prawdopodobnie wachman z wieży

strażniczej i dał znać do obozu, gdyż w pewnym momencie wypadła wataha kapów (nie z naszego obozu) z kijami i zaczęli nas tłuc. Myśmy zaczęli uciekać na bloki, oni wpadli za nami na bloki i leli kogo popadnie.

Nasi blokowi stali zdziwieni. Nie wiedzieli jak zareagować na akcję kapów z innego obozu. Nie wiem jak by się skończyło, ale w tym momencie przyszedł do obozu nasz komendant. Stał zdziwiony nie wiedząc, co się dzieje. Ale kiedy zorientował się, że są to kapowie z obozu Görlitz (mieli trochę inne pasiaki), wyrwał jednemu z nich kij i taki łomot zrobił im, że nie wiedzieli, gdzie uciekać. Na zakończenie cisnął jeszcze kijem w uciekających.

Oczywiście nie chodziło mu żeby stanąć w naszej obronie, ale poczuł się urażony, że bez jego wiedzy jacyś obcy rządzą się w jego obozie.

Naruszona była jego duma komendanta obozu, który jemu podlegał. Dla nas nie było ważne jaki był powód, ale akcja komendanta spodobała się, gdyż wszystko skończyło się dla nas mniejszym laniem.

Po śniadaniu i apelu, polecono abyśmy szykowali się do dalszej wędrówki. Przed południem minęliśmy bramy obozu i rozpoczęliśmy następny etap ewakuacji, który trwał parę tygodni.

3. Ewakuacja z Görlitz

Sądziłyśmy, że teraz tempo marszu będzie spokojniejsze, bo przekroczyliśmy Nysę i oddaliliśmy się od frontu. Zawiedliśmy się. Tempo marszu było jak poprzednio, dlatego po przejściu kilkunastu kilometrów, czuliśmy się bardzo zmęczeni.

Po drogowskazach zorientowaliśmy się, że idziemy w kierunku na Bautzen, Dresden.

Późnym wieczorem przechodziliśmy przez Bautzen. Na ulicach było ciemno (obowiązywał verdunkel) i było niewiele ludzi. Ale nawet ci zatrzymywali się i ze zdziwieniem spoglądali na nas ciągnących drabiniaste wozy. Byli zaskoczeni tą niezwykłą sytuacją.

Minąwszy miasto i po przejściu kilkunastu kilometrów, weszliśmy do wsi, w której zapędzono nas do stodoły na nocleg. Każdy padał, gdzie mógł, z powodu niesamowitego zmęczenia.

Rano dostaliśmy zupełną z naszej połowej kuchni i pajdkę chleba. Zaraz po apelu ruszyliśmy w dalszą drogę. Kierunek Dresden (Drezno). Znowu tempo było dość intensywne, chociaż zmęczenie widać było na twarzach wachmanów.

Wieczorem zbliżyliśmy się do miasta. Prawdopodobnie komendant chciał przejść miasto w nocy, kiedy ulice są bardziej puste. Widok wychudzonych ludzi ciągnących drabiniaste wozy nie robił dobrego wrażenia na przechodniach.

Pomysł komendanta nie został zrealizowany, ponieważ w momencie, kiedy zbliżaliśmy się do miasta, rozpoczął się nalot.

Huk dział przeciwlotniczych oraz race oświetlające wystrzelwane z samolotów, wstrzymały dalszy nasz marsz przez miasto. Zapędzono nas do przydrożnego rowu. Czekaliśmy. Komendant sądził, że może to tylko przelot samolotów i niedługo alarm się skończy, co umożliwi nam dalszy marsz.

Okazało się inaczej. Kiedy miasto zostało oświetlone przez pierwsze samoloty, rozpoczął się nalot dywanowy, przez kolejno nadlatujące eskadry. Rozpętało się niesamowite piekło. Z nieba leciały bomby i paski papieru pokryte aluminium, w celu zakłócenia niemieckich radarów. Ziemia drżała. Pożary ogarnęły miasto. Coraz więcej nadlatywało eskadr. Artyleria przeciwlotnicza coraz słabiej ostrzeliwała. Ten koszmar trwał prawie do rana. To był koniec miasta.

Drezno od początku wojny nie było bombardowane przez aliantów. Ludzie czuli się bezpiecznie. Dlatego w tym czasie miasto było zapchane uciekinierami. Zaskoczenie mieszkańców tak silnym bombardowaniem spowodowało masakrę i kompletne zniszczenie miasta.

Noc z 13 na 14 marca 1945 r. będzie dla miasta niezapomniana. Po wojnie powstał polski film dotyczący tego bombardowania pt. „Dziś w nocy umrze miasto”.

Kiedy nad ranem trochę ucichło, komendant kazał wozy zawracać. Po przejechaniu paru kilometrów skręciliśmy na północ. Drogi były podrzędne. Coraz ciężiej było ciągnąć wozy. Pod wieczór zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi. Nocleg w stodole. Wachami też byli zmęczeni.

Rano wyruszyliśmy w dalszą drogę, kierując się do miejscowości Riesa, gdzie przekroczyliśmy rzekę Łabę. Most był cały i solidny. Widać nie dosięgło go jeszcze bombardowanie.

Po przekroczeniu rzeki wachmani odetchnęli. Zmniejszyło się tempo marszu, co było korzystne dla nas zmęczonych i wygłodzonych.

Noc jak poprzednio spędziliśmy w stodole. Rano po śniadaniu i po apelu, na którym sprawdzono czy ktoś nie uciekł, ruszono w dalszą drogę, kierując się na Leipzig (Lipsk).

Tempo marszu było spokojne, ale pogoda zaczęła się psuć. Zrobiło się zimniej, a chwilami następowały zamiecie śnieżne. To ujemnie odbijało się na naszym zdrowiu. Źle ubrani, przemarznięci, niedożywieni, wykończeni marszem stawaliśmy się łatwą ofiarą chorób, którym towarzyszyła wysoka gorączka. Leków żadnych nie było. Ludzie umierali. Zmarłych kładziono na wozy i potem zbiorowo chowano.

W okolicach Lipska pochowano 16 więźniów, wśród nich był mój kolega ze szkolnej ławki Marian Zdrojkowski. Zmarł on przez zatrucie jadem kiełbasianym.

Pewnego razu wachman otworzył konserwę żeby zjeść. Zorientował się, że jest zepsuta i ją wyrzucił. Złapali ją więźniowie i zjedli. Wśród nich był Marian. Poumierali w wyniku zatrucia.

Zauważyłem, że Marian czuje się bardzo źle. Nie znałem przyczyny. Potem mi powiedział, że przez tę konserwę. Rano po pobudce pobiegłem do Mariana. Leżał na słomie. Nie dał rady wstać. Chciał oddać mi pajdkę chleba, którą trzymał w ręku.

Blokowy polecił, żeby wziąć go na wóz, bo nie da rady iść. Tam skończył swoje życie.

Dzień marszu był do dnia podobny. Tempo może nie było intensywne (średnio robiliśmy około 25 km dziennie), ale zła pogoda, podrzędne drogi, po których ciągnęliśmy wozy oraz niedożywienie - powodowały osłabienie, przez co, nawet mały wysiłek stawał się dla nas ciężarem.

Dobrze, że komendant przed wymarszem z Aslau „zorganizował” kuchnię polową, co dawało możliwość gotowania. Rano dostawaliśmy pół miski zupy i pajdkę chleba. To było wszystko. Dobrze że chociaż tyle.

Złe warunki pogodowe, a także wyniszczenie organizmu odbiło się także i na moim zdrowiu. A wszystko przez nieuwagę.

Kiedy zapędzono nas do stodoły na nocleg było ciemno i każdy zajmował miejsce, gdzie tylko się dało. Nie zawsze dało się uzyskać w miarę dobre miejsce. Właśnie w takiej sytuacji, kiedy wpadliśmy do stodoły, natrafiłem na stertę słomy, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że trafiłem wyjątkowo dobrze. Okazało się inaczej.

W nocy przebudziłem się i poczułem, że jestem spocony. Poczułem, że od spodu bardzo mnie grzeje. Zorientowałem się, że pod słomą znajduje się obornik, który daje takie ciepło. Wystraszyłem się, że może zatruję się i przesunąłem się na zimne klepisko. Było to działanie wyjątkowo nieprze-myślane. Rano poczułem, że mam wysoką temperaturę. Znajomy lekarz zmierzył temperaturę i okazało się, że mam powyżej 39°C. Nie mniej trzeba było zaraz iść do ciągnięcia wozu. W zasadzie bardziej trzymałem się wozu niż go ciągnąłem. Byłem bardzo osłabiony. Do tego pogoda była fatalna. Wieczorem byłem bliski wykończenia.

Szczęście, że organizm to pokonał i po trzech dniach temperatura spadła. Powoli dochodziłem do normalnej formy.

Ze względu na liche ubrania najbardziej dokuczało nam zimno. Naszym marzeniem było ogrzać się przy ognisku, czy piecu, ale to było tylko marzeniem. Rzeczywistość była inna. Wielu straciło życie z powodu wyziębienia organizmu. Po kilku dniach minęliśmy Lipsk. Przez centrum miasta nie przechodziliśmy. Dlatego nie spotykaliśmy wielu mieszkańców, pomimo że pora była dzienna. Po minięciu Lipska weszliśmy w tereny bardziej góryste, a do tego drogi podrzędne, co utrudniało ciągnięcie wozów. Byliśmy osłabieni i najtrudniejsze było przytrzymywanie wozów przy zjeździe z gór. Z tego powodu wynikł raz nieprzyjemny wypadek. Kolumna naszych wozów wjeżdżała do wsi, do której droga prowadziła z góry. Do tego we wsi trzeba było skrócić pod kątem 90° i tu doszło do wypadku. Jeden z wozów nie zdążył wyhamować, a chłopcy przy dyszlu w odpowiednim momencie skrócić, przez co z impetem wbili się w przydrożny płot. Zginął jeden chłopak, a drugi został ranny, inni koledzy zostali lekko poturbowani. Ciągnięcie wozów w terenie górystym i po drogach podrzędnych stawało się dla nas gehenną. Byliśmy za słabi do takich działań.

Pewnego razu na naszej drodze znalazł się podjazd chyba o nachyleniu około 40°. Do tego droga nie była utwardzona i co gorsze na jezdni leżało sporo kamieni i skał utrudniających jazdę.

Komendant zatrzymał kolumnę, dyskutował z wachmanami, analizował mapę. W międzyczasie pojechał niemiecki bauer. Zastanawialiśmy się, jak on będzie wjeżdżał. Okazało się, że po drugiej stronie drogi jest zajazd, gdzie właściciel wypożycza konie do pomocy przy wjeździe. Chłopiec konia wyprowadził, doczepił do dyszla, wsiadł na konia i pojechali razem. Po wjeździe wrócił konno do zajazdu.

Sądziliśmy, że my też będziemy w taki sposób wjeżdżać. Okazało się inaczej. Komendant zebrał kapów, coś im tłumaczył, potem patrzymy, jak kapowie obskoczyli dookoła pierwszy wóz i zaczęli popędzć kijami ciągnących. Rzeczywiście wóz ruszył z kopyta, kołysząc się na wybojach i kamieniach. W połowie drogi ludzie osłabli i trzeba było wóz zatrzymać, podłożywszy kamienie pod koła. Taką samą operację powtórzono z następnymi wozami. Niektórzy byli potłuczeni kijami. Nie ominęło i mnie. Jeden z kapów tak machnął kijem, że rozbił mi głowę nad czołem. Pocięła krew. Kiedy zatrzymaliśmy się jeden z kolegów (Wacław Pielesiak) dał mi jakąś szmatę, którą zabandażowałem głowę.

Na drugi dzień zapuchły mi oczy, ale po paru dniach wróciłem do normy.

Dni naszej tułaczki były do siebie podobne, a z każdym dniem byliśmy coraz bardziej słabi. Szczęście, że komendant tak zorganizował zaopatrzenie, dzięki czemu co dzień dostawaliśmy pajdkę chleba i miskę gorącej zupy z naszej polowej kuchni.

Zupą przeważnie była lura z ziemniaków lub buraków, które rekwirował u wieśniaków. Wyżywienie to nie zabezpieczało naszych potrzeb siłowych do wielotygodniowego ciągnięcia wozów. Dużo więźniów, szczególnie starszych, padało z wycieńczenia. Szczęście, że nastąpiła poprawa pogody, przez co mniej było przeziębień. Ta poprawa pogody sprowokowała niektórych do ucieczki. Chociaż te ucieczki nie dawały wielkich szans na przeżycie, gdyż znajdowaliśmy się w środku Niemiec i do tego w większości we wrogo nastawionym środowisku (szczególnie młodzież z Hitlerjugend), to niektórzy podejmowali takie ryzyko.

Pamiętam jedno zdarzenie, kiedy podczas noclegu w stodole uciekło dwóch więźniów. Byli to Solarz i Dąbrowski z Krakowa. Ucieczka się nie udała. Po dyskretnym wyjściu ze stodoły natknęli się oni na pilnującego wachmana. Zaczęli uciekać. Wachman jednego zastrzelił (chyba Solarza), a drugiego ranił i złapał. Rano komendant wydał rozkaz rozstrzelać złapanego. Oczywiście wyrok wykonywał Holender - najbardziej brutalny wachman. Myśmy oglądali to przez szpary w stodole. Dąbrowski klęcząc na kolanach prosił o przebaczenie. Wachman z drwiącym uśmiechem celował mu w głowę i klęczącego odpychał nogą.

Nareszcie strzelił dwa razy i zabił. Nieprzyjemne to było „widowisko”, ale takie sytuacje się zdarzają, jak się jest w niewoli.

Minęło kilka dni, gdy znowu nastąpiła ucieczka jednego z więźniów. Rano komendant kazał rozstrzelać trzech zakładników. To nas poruszyło. Uciekając, bierze się na sumienie życie trzech kolegów. Okropne. Co rozsądniejsi tłumaczyli, aby nie uciekać, bo ucieczka w tych warunkach nie daje szans przeżycia, a do tego bierze się odpowiedzialność za życie kolegów. Po tym incydencie komendant wiele stracił w „naszych oczach”. Stał się bandytą.

Życie codzienne nadal było takie same. Marsz, wozy, noclegi w stodołach - nie wiedzieliśmy, jak długo będziemy iść i dokąd zmierzamy. Zdarzały się do tego różne incydenty. Któregoś ranka podpadł komendantowi mój kolega Tadeusz Janowski z Łap. Kiedy myśmy stali na podwórku, komendant chwycił Tadeusza za kołnierz i zaciągnął do stodoły. Zamknął drzwi. Sądziliśmy, że go zastrzeli, bo trzymał w drugiej ręce pistolet. Nasłuchiwaliliśmy wystrzału. Nie nastąpił. Raptem drzwi otwierają się i wychodzi Tadeusz chwiejąc się na nogach. Cała głowa i twarz pokryte były sinymi guzami od uderzenia kolbą pistoletu. Dobrze, że przeżył.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Po paru dniach znowu nastąpiła ucieczka więźnia. Został złapany przez Niemców cywilów i przyprowadzony. Komendant powiedział: jeżeli nie chcecie żebym wziął zakładników musicie go zatłuc.

Oczywiście tłukli go kijami największe bandziory naszego obozu: Maks i Erich. Kiedy więzień leżał na ziemi, Erich położył mu kij na gardle, stanął nogami na kiju i huśtał się. Przy tym się śmiał. Było to okropne.

Po paru dniach dalszego marszu i po noclegu w stodole, komendant zarządził jednodniowy odpoczynek. Było ciepło. Kazał myć się i golić, bo jutro mamy wejść do innego obozu. Rano rozpoczęliśmy marsz z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszyliśmy się, że kończy się gehenna ciągnięcia wozów, z drugiej strony nurtowała nas niepewność, co to za obóz.

Około południa weszliśmy do obozu koncentracyjnego Nordhausen. Było to 16 marca
1945 r.

V Obóz koncentracyjny Nordhausen

Obóz koncentracyjny Nordhausen był filią obozu koncentracyjnego Dora-Mittelbau. Jakie było jego przeznaczenie, trudno mi ocenić, gdyż przebywałem w nim krótko (od 16.03 do 19.03.1945 r.)

Z tego co słyszałem, część więźniów pracowała w zakładach remontowych pojazdów motoryzacyjnych. Pozostali byli na kwarantannie, przeniesionymi z KL Dora i z innych obozów.

Myśmy też pozostali na kwarantannie, nie pracując.

Obóz ten zlokalizowany był w części byłych koszar. Prawdopodobnie mieściła się tu jednostka zmotoryzowana, ponieważ znajdowały się tu duże hale garażowe.

Właśnie te hale wydzielono, ogrodzono drutami kolczastymi i zlokalizowano obóz koncentracyjny. Warunki pobytu w nim były nieszczerłne. Obóz był zaniedbany, brudny, z niesamowitą ilością różnych insektów. Całe stada wszy i pluskiew łążyły po nas. Aby usnąć, należało przeprowadzić generalne tępienie intruzów. To zajmowało sporo czasu.

Nasz obóz Aslau został tu rozwiązany. Tu przydzielano nas na bloki, którymi zarządzały tamtejsze władze obozowe. Rygor był surowy.

Wśród byłych więźniów Aslau, zaczęto wybierać fachowców, szczególnie: ślusarzy, tokarzy, spawaczy itp. Dowiedzieliśmy się potem, że będziemy przesłani do Dory.

Nastąpiło to 19.03.1945 r. Tak znalazłem się w piątym z kolei obozie koncentracyjnym Dora-Mittelbau.

Dla nas, którzy zostali wysłani do Dory było to szczęście. Ponieważ parę dni później więźniów obozu Nordhausen dosięgła tragedia. Nastąpiło alianckie bombardowanie Nordhausen. Trwało ono parę godzin. Miasto zostało poważnie zniszczone, jak również koszary, w których mieścił się obóz. Zginęło paruset więźniów wśród nich paru moich kolegów z Aslau: Tadeusz Łapiński, Józef Ratman i Ryszard Ratman. O ich śmierci dowiedziałem się później od kolegów.

W czasie bombardowania zostały zniszczone hale koszarowe, a także ogrodzenia z drutów kolczastych. Ludzie w panice uciekali przez wyrwy w ogrodzeniu. Byli zszokowani. Rozpierzchli się po okolicznych polach. Trudno było zebrać tak rozproszonych ludzi, dlatego wyznaczono oddziały do polowania na uciekinierów. To było makabryczne.

Tragiczne bombardowanie oglądaliśmy z Dory, ponieważ dwa obozy leżały w odległości około 10 km. Było widać eskadry nadlatujących amerykańskich bombowców.

Byliśmy przekonani, że obozu koncentracyjnego bombardować nie będą. Stało się inaczej.

VI Obóz koncentracyjny Dora-Mittelbau

1. Wstęp

Obóz koncentracyjny Dora-Mittelbau, położony w południowej części gór Harzu, przeznaczony był do zatrudnienia więźniów w podziemnych zakładach produkujących rakiety V1 i V2.

Główny obóz był duży i posiadał sieć kilkunastu podobozów. Także Nordhausen, z którego przybyliśmy, należał do obozu koncentracyjnego Dora. Dokładny opis obozu znajduje się w książce Wacława Czarneckiego i Zygmunta Zonika pt. „Kryptonim Dora”.

2. Pobyt w obozie

Do Dory przybyliśmy w dniu 19.03.1945 r., jako pieszy transport z Nordhausen. Parę godzin trwało sprawdzanie, wypełnianie kartotek, a następnie skierowano nas do łaźni. Zabrano nam wszystko, co kto miał i po umyciu wydano nowe pasiaki i nowe numery obozowe.

Od tej chwili stałem się więźniem obozu koncentracyjnego Dora o numerze 119 960.

Zaskoczyło nas zabieranie nam wszystkich rzeczy, jakie mieliśmy przy sobie. Jako już doświadczony więzień postanowiłem zachować, niektóre pamiątki z Aslau. Wchodząc do łaźni ukryłem w krzakach własnej roboty następujące rzeczy: papierośnicę, numer metalowy z Aslau i rylce grawerskie.

Tak się złożyło, że po paru dniach je znalazłem. Szczęście, że nikt tego przedtem nie zauważył. Wszystko to pomyślnie udało mi się przywieść do domu jako pamiątki obozowe.

Po umyciu i przebraniu w inne pasiaki, zaprowadzono nas na blok (chyba 110), gdzie odbywaliśmy kwarantannę.

Był to zwykły barak nie posiadający prycz ani koców. Na podłodze leżało parę rzędów sienników wypełnionych wiórkami drzewnymi. Nie można było chodzić po bloku ani wychodzić na zewnątrz.

Po dwóch dniach zaczęto nas przydzielać na inne bloki i do odpowiednich komand roboczych.

Znalazłem się chyba na bloku 105 lub 104 i trafiłem do komanda transportowego. Rano ruszyliśmy do pracy przy kuciu tunelu.

Zdziwiłem się, że jeszcze kują tunel, celem powiększenia zakładu.

Praca była wyjątkowo nieprzyjemna. Pirotechnicy niemieccy odpalali ładunki, przez co powstawał ogromny pył. Nas wpędzano do tunelu, aby wynosić porożłupywane skały. Zapylenie było tak silne, że trudno było oddychać i do tego łzawiły oczy.

Chyba ta praca została zaniechana, bo następnego dnia wzięto nas do transportu części do rakiet V2. Prawdopodobnie trudno było magazynować wszystko w pomieszczeniach podziemnych, dlatego w polu poustawiano namioty, które służyły za magazyn. Namioty były daleko porozstawiane w polu, aby zmylić czujność nieprzyjacielskiego lotnictwa, a w razie bombardowania zmniejszyć straty.

Nasze komando miało za zadanie nosić korpusy środkowe do rakiet V2, produkowanych w tunelu B.

To był ogromny wysiłek. Taki element, w kształcie półwalca niosło na ramionach 14 więźniów (po 7 z każdej strony). Ze względu na nierówny teren, obciążenie zmieniało się przypadkowo. To unosiło się nad ramieniem, to raptem dociskało do granic ludzkiej wytrzymałości. Często zdarzało się tak, że pracę kończyło tylko 12 - dwóch nie wytrzymało.

Podczas takiego transportu zdarzały się nieprzewidziane wypadki.

Pewnego razu, niosąc korpus rakiety, szliśmy torami. Raptem ukazała się lokomotywa, jadąca w naszym kierunku. Maszynista nie hamował tylko gwizdał, żebyśmy zeszli z torów. Nie mieliśmy takiej możliwości, ponieważ tory z obu stron zawałone były różnego rodzaju pakami i złomem. Zbyt późno zaczął hamować, dlatego w fazie końcowej hamowania uderzył w nas. Myśmy poupadali wraz z korpusem i jeszcze koziołkowaliśmy, gdyż parę metrów nas pchał. Wachman, który nas eskortował, uciekając wskoczył na złom i to go uratowało. W przeciwnym razie koziołkował by razem z nami.

Wynikła awantura. Korpus w pewnym miejscu został nieznacznie wgięty. Wachman groził maszynie i zapisał jego nazwisko. Nie wiem, czy coś z tego potem wynikło.

Innym razem skaleczyłem poważnie rękę o ostrą krawędź blachy, z której był wykonywany korpus.

Pewnego razu, kiedy staliśmy w tunelu A oczekując na wachmana, podszedł do nas jeden z pracowników zakładu (był w mundurze wojskowym i fartuchu roboczym) i zapytał, czy któryś zna się na montażu kompresorów.

– Ja się znam - odpowiedziałem.

– A co robiłeś? - zapytał

– Montowałem kompresory powietrzne i tlenowe.

– I tlenowe? - zapytał

Opowiedziałem, że montowaliśmy tlenownię w zakładach kolejowych.

– Coś podobnego! Takiego potrzebuję. Ale trafiłem!

– Kapo, ja go zabieram - powiedział.

Kapo zaczął mu tłumaczyć, że nie może, bo musi na bramie wyliczyć się ze wszystkich więźniów. Przyszedł wachman i w końcu ustalili, że na koniec dnia przyprowadzi mnie do wylotu tunelu. Zapisali mój numer i poszedłem do innej pracy.

Szliśmy wzdłuż tunelu A, daleko, prawie przy drugim wyjściu. Następnie skręciliśmy w prawo i weszliśmy do dużego pomieszczenia, gdzie częściowo były już zmontowane kompresory. Wzięliśmy się do roboty. Problemy stwarzał brak części i to często podstawowych, jak: śruby, kołki, listwy

itp. Żeby zdobyć potrzebne elementy, majster chodził po różnych halach (wydziałach) i przez znajomości załatwiał, co potrzeba. Wobec tego, że nie mógł mnie zostawić samego, chodziłem z nim po całym zakładzie. Dopiero wtedy zorientowałem się, jak ogromny jest to zakład podziemny.

W tunelu A prowadzono całkowity (taśmowy) montaż rakiet V1, natomiast w tunelu B montaż rakiet V2. Między tymi tunelami były hale produkcyjne elementów do montażu rakiet (podobno około 50 hal). Ogromne były zgrzewarki do wykonywania korpusów rakiet V2. Pracowały automatycznie. W innych halach znajdowały się obrabiarki wysokiej klasy. Widok tak nowoczesnego sprzętu bardzo mnie zdziwił.

Pewnego razu spowodowałem sytuację, która mnie poważnie zaniepokoiła. Idąc do pomieszczenia, w którym montowaliśmy kompresory, przechodziliśmy obok dużych drzwi, które były zawsze zamknięte. Nie wiedziałem, co może być za tymi drzwiami. Ale podczas kolejnego przejścia obok nich, zobaczyłem je otwarte. Przed nimi stał majster cywil. Jeden rzut oka w stronę tajemniczego pomieszczenia pozwolił ocenić, co tam się znajduje. Tlenownia. Może udało by się tam zatrudnić - myślałem. Aby zatrzymać się, upuściłem rozmyślnie jakiś element na ziemię. Podnosząc, uśmiechałem się do stojącego majstra i delikatnie zagadnąłem:

– Das sauerstoffanlage, meister? (to jest tlenownia, majster)

Niemiec zrobił zdziwione oczy, rozejrzał się dookoła i przytłumionym głosem powiedział:

– Ruhe! Nie widziałeś nic. Nic nie wiesz. - powtórzył to parokrotnie. Zdębiałem ze strachu. Nie wiedziałem, że produkcja ciekłego tlenu do rakiet jest taką tajemnicą. Szybko odpowiedziałem, że nic nie widziałem i nic nie wiem. Prędko oddaliłem się od tego miejsca. Przechodząc następnym razem koło tych drzwi, bałem się żeby nie spotkać tego majstra. Obawiałem się, aby nie rozmyślił się i nie zadenuncjował mnie.

Praca przy kompresorach była spokojna i dawała psychiczną równowagę. Majster był sympatyczny i zawsze pod koniec dnia odprowadzał do komanda, z którym wracałem do obozu.

Któregoś dnia, podczas pracy przyszedł do niego kolega, też w mundurze Luftwaffe i długo ze sobą rozmawiali. Majster mój pokazywał, co tu robimy. Słyszałem, jak mnie chwalił, mówiąc że znalazł dobrego fachowca.

Na odchodne tamten zapytał:

– Co, przyjdiesz?

– Zaraz tam będę - odpowiedział majster.

Po kilku minutach, kazał mi złożyć to wszystko, wziąć niektóre narzędzia i powiedział:

– Pójdziemy do tunelu B.

Kiedy zaszliśmy do tunelu B, na taśmie było parę rakiet V2 w montażu. Majster, rozmawiał jakiś czas z monterami, potem poszedł, przyniósł jakieś części, wszedł wyżej i zaczął coś montować

przy silniku rakiety. Ja podawałem, tylko elementy lub narzędzia. Rakiety były w dużym stopniu zmontowane, lecz w zakończeniu prac przeszkodził brak części.

Z zaciekawieniem spoglądałem, jak jest skonstruowana wewnątrz rakiet. Była to bardzo ciekawa konstrukcja. O szczegóły majstra nie pytałem, bo bałem się podpaść, jak poprzednio z tlenownią. Z montażem kompresorów były kłopoty, powód - brak części. Któregoś dnia majster powiedział, że nie będziemy dalej montować z powodu braku części. Zaniepokoiłem się - a co ze mną?

Majster zauważył zaniepokojenie w moich oczach i powiedział:

– Załatwię ci inną dobrą pracę. Chodź. Idziemy.

Zaprowadził mnie chyba na halę 41, do swojego kolegi (też w mundurze) i poprosił żeby znalazł dla mnie zajęcie. Zawołali kapo. Dyskutowali. W końcu kapo zapisał mój numer i powiedział żebym rano zgłosił się do jego komanda. Resztę on załatwi.

Na drugi dzień, kapo (Niemiec) zastanawiał się gdzie mnie zatrudnić.

– Potrafisz spawać? - zapytał

– Trochę spawałem - odpowiedziałem

– To spróbuj.

Zaprowadził mnie na stanowisko spawalnicze.

Praca była bardzo trudna i odpowiedzialna. Za mało miałem doświadczenia. Podobno spawy bardzo dokładnie sprawdzali, co dla mnie mogło mieć niewyobrażalne konsekwencje. Kiedy kapo przyszedł zobaczyć, jak mi idzie, poprosiłem, żeby dał mi coś innego do roboty. Wszystko to mogłem załatwić, tylko dzięki protekcji poprzedniego majstra. W obozach na coś takiego nie można było sobie pozwolić.

Kapo zaprowadził mnie do pomocy Francuzowi, który pracował na tokarce.

– Znasz się na tokarkach? - zapytał kapo

– Znam się. Pracowałem przy remoncie tokarek.

– Świetnie, pomagaj jemu - powiedział.

Ale Francuz był wyjątkowo podejrzliwy. Nie pozwalał mi do niczego się dotknąć. Pomagałem tylko w prostych czynnościach.

Pewnego razu przechodził kolega poprzedniego majstra, kiedy mnie zobaczył, zawołał kapo i powiedział, że mnie zabiera. Wyjaśnił, że będzie organizować stanowisko pomiarowe.

W hali tej produkowane były elementy do małych rakiet polowych (podobnych do rosyjskich katusz). Organizował stanowisko kontrolno-pomiarowe usterzenia tych rakiet.

Żeby zorganizować je trzeba było zdobyć odpowiedni sprzęt, dlatego chodził po różnych wydziałach, kombinując, co się da. Oczywiście, chodziliśmy razem i wszystko co zdobył, ja nosiłem.

Miał dużo znajomości i lubił pogadać nie tylko o sprawach technicznych. Chodząc z nim znów zwiedzałem zakład. Orientowałem się już w konfiguracji całego podziemia.

Pewnego razu weszliśmy do hali 40 (chyba), w której przeprowadzana była kontrola rakiet V2. Rakiety były zawieszane pod stropem hali, pionowo, ogonem do góry. Stwarzało to ogromne przytłaczające wrażenie. Odczuwało się niesamowitą potęgę tych rakiet.

Kiedy rozmawiałem ze starymi więźniami, którzy byli w tej hali, stwierdzali to samo. Niemcy posiadając taką broń mogą wygrać wojnę. Taki osąd wynikał z tego, że byliśmy odizolowani od świata i nie znaliśmy sytuacji na frontach. Był to marzec 1945 r.

Po wejściu do hali zobaczyliśmy ekipę specjalistów ubranych w białe fartuchy. Wśród nich wyróżnił się jeden. Majster po namyśle, powiedział:

– Jetzt ist hier ing von Braun mit specialisten, komm (teraz nadchodzi inż. von Braun ze specjalistami, chodź).

Wyszliśmy. Ale zapamiętałem, który to jest Werner von Braun - główny konstruktor rakiet V2 (słyszałem to od starych więźniów). Potem widziałem go parokrotnie przechodzącego przez naszą halę w stronę gabinetu dyrektora zakładu inż. Sawatzki (napis ten widziałem na drzwiach jego biura).

Sytuacja na froncie była chyba coraz bardziej napięta, bo mój majster był coraz bardziej zdeenerwowany. Biegał porozmawiać z innymi lub to koledzy przychodzili do niego. Całość dyskusji nie mogłem uchwycić, lecz tylko mogłem wyłapać poszczególne słowa.

Najczęściej słyszałem - schön ist besetzt (jest już zajęte). Wyciągnąłem z tego wniosek, że front jest już niedaleko.

Następnego dnia majster wybył na cały dzień, prawdopodobnie w celu ewakuacji rodziny, jak wywnioskowałem z toczonych rozmów.

Pracowałem sam, zapisując wyniki pomiarów. Panował spokój. Byłem zadowolony, że tak dobrze trafiłem. W komandzie transportowym długo bym nie wytrzymał. Byłem słaby. Opatrzność nade mną czuwała.

Motocyklem przyjechał dyrektor Sawatzki (motor mógł bez problemu wjechać do tunelu) i postawił go obok mego stanowiska. W głębi hali było jego biuro. Po jakimś czasie wrócił do motocykla i coś przy nim grzebał. Sprawdzał instalację elektryczną. Zorientowałem się, że silnik przerywa. Chciał go przesunąć, więc podbiegłem aby mu pomóc.

Zapalił. Silnik nadal przerywał. Zaczął grzebać przy instalacji świec.

– Może świeca jest w środku zabrudzona? - powiedziałem.

Rzeczywiście była bardzo brudna. Nie miał czym oczyścić. Złapałem swój nożyk (który parę dni temu zrobiłem z taśmy stalowej) i oskrobałem elektrodę świecy. Oglądał. Potem wziął mój nożyk i jeszcze poprawił. Po wkręceniu świecy, zapalił. Silnik pracował bezbłędnie.

Ogromnie się ucieszyłem. To była pierwsza w moim życiu naprawa motocykla. Nigdy wcześniej motocykla w rękę nie miałem. Moja wiedza o motocyklach wyszła z mojego zainteresowania tym sprzętem. Ojciec kiedyś kupił książkę o motocyklach, którą ja z zapalem przestudiowałem. Stąd

poznałem dokładnie konstrukcję, a także usuwanie usterek, jak czyszczenie świec, gaźników itp. Widziałem, że dyrektor też był zadowolony. W końcu zapytał:

- Znasz się na motocyklach?
- Tak - odpowiedziałem.
- A gdzie pracujesz?
- Tu, obok - rzekłem
- Dobrze będę pamiętał - powiedział

Wróciłem na swoje stanowisko. Rozmyślałem. Tak krótko tu jestem, zaledwie parę dni, a tyle różnych przeżyć - i dobrych i złych.

Ale to nie wszystko. Dora była wyjątkowo bandyckim obozem. Reżym obozowy był wyjątkowo twardy. Przeważnie rządili „zieloni” (więźniowie kryminalni).

Produkcja zakładów Dora była tajna, dlatego SS wszędzie węszyło, aby nie było sabotażu i przecieków o rodzaju produkcji. Aby utrzymać wszystkich w postrachu, co jakiś czas publicznie, na placu apelowym wieszano po paru więźniów za sabotaż.

Ostatnie wieszanie było w ostatnich dniach marca. Powieszono chyba około trzydziestu. Więźniowie mieli zakneblowane usta i drutem związane ręce. Niektórzy próbowali coś krzyknąć. Po odczytaniu wyroku, kolejno wszystkich wieszano. Widok był makabryczny.

Podpaść można było za byle co. SS często robiła rewizje na wydziałach sprawdzając więźniów, a także szafki Niemców cywilów. Jedną taką rewizję widziałem. Niemcy, cywile byli oburzeni, ale nic nie mogli poradzić. Po tej rewizji dwóch więźniów zabrano. Co się z nimi stało, nie wiem.

Któregoś dnia było bombardowanie Dory przez samoloty amerykańskie. Oczywiście bombardowano tylko obiekty zewnętrzne. Będąc w głębi podziemia nic nie słyszałem. Zobaczyłem tylko, że tunelem A prowadzą Niemca cywila, który był zakrwawiony. Potem dowiedziałem się, że było bombardowanie i zginęło paru więźniów, którzy nie zdążyli uciec do tunelu.

Jaka jest sytuacja wojenna na frontach nie wiedzieliśmy, bo byliśmy izolowani od wszelkich informacji. Według przebiegu produkcji w zakładzie, orientowaliśmy się, że sytuacja dla Niemców jest krytyczna. Produkcja zamierała. Brak było części i materiałów.

W pierwszych dniach kwietnia, można rzec że produkcja stanęła.

Drugiego czy trzeciego kwietnia nie poszliśmy do pracy. Zaczęto szykować obóz do ewakuacji. Nie dostawaliśmy jeść. Ogłaszali, aby blokami wychodzić na plac apelowy. Każdy dostanie bochenek chleba i będą szykowane transporty. Ze względu na chleb, ludzie rzucili się, aby go dostać. Nastąpiło ogromne zamieszanie i bałagan. Służby porządkowe obozu nie mogły doprowadzić do uspokojenia. Zaczęto bić i porządkowych.

Niektórzy, co dostali chleb, zaczęli z powrotem uciekać do obozu. Tłumy, co chleba nie dostały, rzuciły się na kuchnię, zabierając wszystko, co się da. Ja też zdobyłem dwa buraki, które wraz ze Staśkiem szybko zjedliśmy, bojąc się, żeby nam nie zabrali.

Wieczorem sytuacja uspokoiła się i ludzie poszli spać. Każdy kładł się, gdzie było miejsce. Nie szukał swojego bloku.

Nazajutrz powtórzono to samo. Wydawano chleb i wysyłano transporty. Wielu ludzi pchało się, aby dostać chleb. Znowu ci, co zostali, rozbili Kleiderkammere (magazyn ubrań) i zabrali co się dało, aby cieplej się ubrać. Ja też zdobyłem płaszcz pasiasty i cieplejszą koszulę. Wieczorem znów uspokoiło się. Niewiele już zostało więźniów w obozie. Rano zarządzono zbiórkę na placu apelowym. Na zbiórkę stawilo się około trzech tysięcy. Po uformowaniu w kolumny, zaprowadzono wszystkich do tunelu A. Dlaczego? To pytanie nurtowało wszystkich.

Wojsko, przy wejściach do tunelu, budowało barykady. Minerzy minowali tunel. A może wysadzą tunel wraz z nami? - coraz bardziej koszmarnie wizje rysowały się w naszych myślach.

Zacząłem zaglądać za różny sprzęt i maszyny pozostawione w tunelu, gdzie można by się schować w razie czego. Przy okazji znalazłem parę skórek chleba, co szybko zjedliśmy ze Staśkiem.

Załoga zakładu wywoziła wózkami elektrycznymi różne akta i dokumentację konstrukcyjną. Dokąd? - nie wiedzieliśmy. My czekaliśmy nadal.

Po południu wyprowadzono nas z tunelu. Zaprowadzono z powrotem do obozu, a stamtąd w uformowanych kolumnach pomaszerowaliśmy na bocznice kolejową, gdzie stał pociąg towarowy (węglarki), do którego nas załadowano. W wagonach wydano nam po bochenku chleba na dwóch.

Czekaliśmy kiedy pociąg ruszy. W tym czasie wachmani podpalili swój obóz i chyba częściowo nasz. W obozie niewielu zostało więźniów, chyba tylko na rewirze - chorzy.

Wieczorem pociąg ruszył. Było to 05.04.1945r. Był to ostatni transport z Dory, który po paru dniach gehenny ewakuacyjnej trafił do KL Ravensbrück.

3. Ewakuacja z Dory

Jeśli dobrze usłyszałem jak Rapportführer meldował komendantowi obozu w transporcie było powyżej 3000 więźniów (3120 czy 3200). W każdym wagonie towarowym (węglarkach) znajdowało się od 120 do 140 więźniów. Był tak niesamowity ścisk, tak że wszyscy stali.

Rano pociąg zatrzymał się i zaczęto nas wyładowywać. Była to miejscowość Osterode w Górach Harzu. Zapowiedziano, że kto nie może przejść 60 km niech zostaje, reszta pójdzie dalej pieszo. Dla tych co zostaną ma być w niedługim czasie podesłany transport. Mimo kuszącej propozycji pozostania, kto tylko mógł maszerować, nie zastanawiając się nad niebagatelną odległością do pokonania, ruszył pieszo.

Maszerowaliśmy przez góry w kierunku na Goslar. Już po przejściu kilkunastu kilometrów ludzie zaczęli padać. W ostatnim czasie wyżywienie w Dorze było bardzo liche, a ostatnie dwa dni

w ogóle niedostawaliśmy jedzenia. Uratował nas trochę bochenek chleba, jaki dostaliśmy na drogę, ale to też było za mało. Oprócz kolumny maszerujących ciągnięte były wozy wyładowane esesmańskim dobytkiem.

Po jakimś czasie kolumny zatrzymano i zmieniono kierunek marszu. Maszerowano całą noc. Marsz w górach był wyjątkowo ciężki. Ludzie padali masowo. Dlatego wydzielono specjalny oddział esesmański do dobijania leżących. W niektórych miejscach droga usłana była trupami. Do tak forsownego marszu drewniaki (buty) nie nadawały się. Ja tak odbiłem stopę, że zaczęła pod skórą zbierać się ropa. Na dodatek zabrano mnie do ciągnięcia wozu. Ból nogi okropnie mi dokuczał. Nie wytrzymałem w końcu nerwowo, zerwałem z nogi but i wyrzuciłem do rowu. To pogorszyło jeszcze sytuację. W miejscach, gdzie zbierała się ropa, skóra pękała. Podczas marszu od ostrej powierzchni drogi zaczęła prędko niszczyć się tkanka mięsna. Kiedy zatrzymaliśmy się zobaczyłem, że od strony stopy widać białą kość. Okropnie cierpiałem. Potem urwałem rękaw koszuli i owinąłem nogę. Na wozie, który ciągnąłem wraz z kolegami siedział esesman z tak długim batem, że sięgał nim tych, co byli przy dyszlu, jak i do tych, co popychali wóz z tyłu. Bez przerwy bił. Ciągący zmieniali się co parę godzin.

W pewnym momencie nasz esesman wyjął puszkę konserw, otworzył i postawił obok siebie sięgając po chleb. Jeden z kolegów chwycił puszkę, złapał w rękę trochę zawartości i podał następnemu. Obdzieliliśmy się konserwą wśród najbliższych. Kiedy esesman ukroił chleba nie miał go z czym zjeść. Wpadł we wściekłość. Obił nam wszystkim „zęby” i za karę kazał nam ciągnąć wóz całą noc.

Eskortujący esesmani byli pijani. W zapijaczonych oczach widocznie im coś przewidywało się, bo bez żadnej przyczyny strzelali z automatów do maszerującej kolumny. Ludzie byli złęknieni. Nie wiem czym by się to skończyło, gdyby nie przypadek, że jeden z tych „strzelców” „przestrzelił” kolumnę i ranił esesmana maszerującego z drugiej strony kolumny. Zrobił się krzyk. Broczącego krwią esesmana położono na wozie. Przybiegł w tym czasie dowódca, zorientowawszy się co się stało, dał w zęby „strzelcowi” i to wszystko trochę uspokoiło esesmanów.

Nad ranem dobrnęliśmy do jakiegoś miasta, gdzie na stacji stał podstawiony pociąg. Była to prawdopodobnie miejscowość Oker (ewentualnie Harzburg, gdyż po drodze spotykałem drogowskazy Oker, Harzburg lub Wernigerode. Z powodu ciemnej nocy nie wiem w którym kierunku poszliśmy). Od tego miejsca zaczął się drugi etap naszej gehenny ewakuacyjnej.

Ładowano nas do wagonów towarowych po około 80 osób i jeszcze środek wagonu na szerokość drzwi musiał być wolny dla wachmana, który siedział na krześle. Tłok w wagonach był niesamowity.

Podczas ładowania nas do wagonów jakiś wachman wystrzelił i nie było by w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że obok naszego pociągu stały cysterny z benzyną lub innym materiałem

łatwopalnym. Prawdopodobnie kula trafiła w cysternę i na nasze wagony zaczęło „sikać”, co spowodowało, że dwa wagony stanęły w płomieniach. Zaczęliśmy w popłochu uciekać z płonących wagonów (razem z wachmanem, który tam był). Płonące wagony w końcu odczepili, a nas upychano do innych wagonów. To spowodowało jeszcze większe zagęszczenie.

W naszej „połówce” przeważali Francuzi. Zajmowali oni więcej niż 4/5 powierzchni i byli wyjątkowo wrogo i agresywnie nastawieni do nas. Wynikało to prawdopodobnie stąd, że do pełnego ich wagonu „dokwaterowano” dodatkowo nas. Oprócz nas trzech Polaków znalazł się jeden Belg - młody chłopiec, mój rówieśnik, wyjątkowo sympatyczny, jeden Holender - małomówny, ale bardzo uczciwy, jeden Włoch - wyjątkowy gaduła.

Włoch z koca zrobił hamak i zawiesił jakoś w rogu wagonu. Jak wlażł do niego to przez cały czas z niego nie wychodził. W celu załatwienia nie musiał wychodzić, bo nic nie dostawaliśmy do jedzenia i taka potrzeba nie istniała. Natomiast siusiu robiliśmy w puszki po konserwach i wylewaliśmy za okno.

Zajmowaliśmy miejsce przy jednej ze ścian, co dawało nam komfort oparcia się. Nie mniej, pozycja siedzenia z kolanami pod brodą, powodowała silne odgniecenia chudych pośladków, przez co na pośladkach porobiły się sińce średnicy paru centymetrów.

Widząc agresywność Francuzów - Belg, Holender i Włoch trzymali się nas, gdyż w przeciwnym razie Francuzi mogli ich wykończyć.

Wśród Francuzów był jeden Rosjanin, wyjątkowo zauroczony postacią Stalina. Pomimo głódki i słabnięcia z każdym dniem, głosił czasami dziękczynne oracje pod adresem Stalina. Ale kiedy powiedział ile dobrego zrobił Polakom w 1939 r. - nie wytrzymałem i powiedziałem, że kiedy myśmy walczyli z Niemcami, Stalin uderzając z tyłu wbił nam nóż w plecy. A co wyrabiał po zajęciu? Rozstrzeliwał wywoził na Sybir i do Kazachstanu - widziałem to wszystko na własne oczy (pochodzę z białostockiego), wystrzelał naszych oficerów - jeńców (wiedziałem już wtedy o Katyniu od kolejarzy, którzy tam jeździli. Podobno kolejarze pierwsi postawili tam krzyże). Dla mnie Stalin to taki sam morderca jak Hitler. I tu ugryzłem się w język. O ile na Stalina w danej sytuacji można było „psioczyć”, to takie powiedzenie pod adresem Hitlera oznaczało śmierć. Szczęście, że nikt tego nie zrozumiał, gdyż rozmawialiśmy po rosyjsku.

Rosjanin popatrzył na mnie wrogo (nie miał sił, żeby rzucić się na mnie) i powiedział, że jeżeli przeżyje, to tego mnie nie przebaczy.

– Pomyśl najpierw jak przeżyć - odpowiedziałem i na tym rozmowy polityczne się skończyły.

Pociąg jechał w kierunku Magdeburg, Berlin. Co parę stacji zatrzymywał się na parogodzinne postoje. W końcu znaleźliśmy się w Oranienburgu, lecz tamten obóz nasz nie przyjął. Skierowano pociąg przez Nauen na płn.-zach. mówiąc, że do Hamburga. Po dwudniowej jeździe pociąg znowu zatrzymał się, gdyż podobno Hamburg został zajęty. Z powrotem jechaliśmy tą samą trasą.

Ciągle wojaże tam i z powrotem trwały parę dni. Przez cały okres nie dostaliśmy nic do jedzenia, ani do picia. Tych, którzy nie wytrzymali wyrzucano z pociągu podczas jazdy. Robiło się luźniej.

Ja siedziałem najbliżej wachmana. Pewnego razu kiedy wachman wyjął papierośnicę, zaproponowałem mu wygrawerowanie monogramu na srebrnej papierośnicy. Zgodził się. Kiedy wygrawerowałem mu monogram i jeszcze do tego parę dekoracyjnych kwiatków, tak był zadowolony, że poklepał mnie po ramieniu. Poczułem się przy nim pewniej.

Kiedy pewnego razu pociąg dłużej stał na jakiejś stacji, zobaczyłem przy budynku stacyjnym kran, z którego ludzie nabierali wodę, a my byliśmy spragnieni do granic ludzkiej wytrzymałości. Pomimo że staliśmy dość daleko od budynku (3 czy 4 tor), poprosiłem go, aby pozwolił nabrać wody. Wyrzwał z wagonu i powiedział:

– Dobrze, bierz naczynia.

Kto tylko mógł, dawał mi różne puszki i garnki. Wachman krzyknął do stojących wzdłuż pociągu wachmanów, aby nie strzelali (był chyba trochę starszy rangą, bo widziałem, że rozprawdzał posterunki) a mnie kazał samemu iść po wodę. W pierwszym rzędzie napiłem się sam do syta, a następnie napełniłem naczynia. Kiedy przyniosłem dawałem po kolei wszystkim. Brali ostrożnie, aby nie uронić kropli wody. Poprosiłem, aby pozwolił drugi raz. Wachman śmiał się, ale pozwolił. Pozwolił jeszcze dwa razy. Wreszcie powiedział.

– Dosyć włącz do wagonu. Masz szczęście chłopcze. Czy wiesz, co bym zrobił, gdyby pociąg ruszył, a ty byłbyś daleko - zastrzelił bym cię.

O tym nie pomyślałem. Wszyscy napili się, co spowodowało, że Francuzi stali się bardziej przyjacielscy dla nas.

Pozwolono w końcu wychodzić z pociągu podczas postoju. W pobliżu pociągu zjadane było wszystko, co tylko się dało: pokrzywy, mlecz, trawa. Zdobywało się przy tym, także trochę wody do picia. Wachmani też czuli się zmęczeni. Zaczęli mniej bacznie pilnować. Kto czuł się jeszcze na siłach, próbował ucieczki. Żeby chociaż najeść się przed śmiercią. W większości przypadków daleko nie uciekli. Łapani byli przez miejscowych Niemców i z powrotem dostarczani do pociągu. Różnie to się kończyło. Jednych zastrzelono, inni dostali parę "kolb" lub kopniaków, w zależności na jakiego wachmana się trafiło.

Ja też próbowałem dwukrotnie ucieczki.

Pewnej nocy przesunęliśmy się bliżej okienka, które w wagonie towarowym jest dość wysoko. Najbliżsi okna, jak Belg, Holender i Włoch zrozumieli, że chcemy uciekać, ale zachowywali się spokojnie.

Kiedy pociąg zaczął zwalniać bieg, ja wsunąłem się między hamak Włocha i ścianę i zacząłem się wspinać do okna. Sądziłem, że wszyscy śpią (także i wachman) i nikt mnie nie zauważy. Stało się inaczej. Zauważył mnie, któryś z Francuzów i narobił hałasu wrzeszcząc:

– Herr Wachman, Pole weglaufen!

Wachman, zerwał się, ale w ciemności nic nie zauważył, natomiast wystrzelił w sufit, aż zadzwoniło nam w uszach, po wrzeszczał i nastąpił spokój.

Wobec zaistniałej sytuacji, wróciliśmy na swoje miejsca i daliśmy na razie spokój ucieczce. Próbę powtórzyliśmy nad ranem. Udało się.

Uciekłem wraz z kolegą Stanisławem Łapińskim (zmarł w 1945r. po powrocie do Polski), kiedy pociąg dojeżdżał do jakiegoś miasteczka. Po odpoczynku poszliśmy w kierunku miasta. Zobaczyliśmy jakieś zabudowania, a przy nich inspekty szklane. Weszliśmy do jednego, żeby zdobyć coś do jedzenia. Na grządkach nic nie było za wyjątkiem małych listków - chyba sałata, ale po ciemku nic nie można było rozpoznać. Zjedliśmy tego po jednej grządce i usiedliśmy koło jeszcze ciepłego pieca, żeby się ogrzać. Usnęliśmy. Rano zobaczyliśmy, że jesteśmy otoczeni przez Niemców uzbrojonych w widły siekiery i noże. Chwyciłem kilof, nakazałem koledze, żeby trzymał się blisko, postanowiłem przebić się i uciec do lasu. Kiedy otworzyłem drzwi, żeby zrobić skok - w drzwiach stali dwaj z Volkssturmu z karabinami gotowymi do strzału. Hände hoch! Rzuciłem z rezygnacją kilof i podniosłem ręce. Związano nam ręce i nogi i położono pod ścianą domu. Wokół nas zebrał się tłum gapiów. Młodzi chłopcy i dziewczęta z Hitlerjugend pluli na nas i rzucali piachem i kamieniami. Ciągłe wyglądano na drogę. Z rozmowy zrozumiałem, że na stacji stoi pociąg z więźniami i ktoś poszedł tam zameldować. Doszliśmy do wniosku, że to chyba nasz pociąg. Długo nikt nie przybywał. Leżąc myślałem, jak się wytłumaczyć. Raptem usłyszałem krzyki - "jedzie, jedzie" i wszyscy wybiegli na drogę. Za chwilę przyjechał wachman na rowerze. Kazał rozwiązać nogi i wstać. Nogi tak zdrętwiały, że ledwie staliśmy.

– Z jakiego obozu? - zapytał.

– Z Dory - odpowiedziałem.

– Dlaczego uciekliście?

– Byliśmy bardzo głodni, chcieliśmy coś zjeść.

Wyglądał dość sympatycznie i nabrałem trochę odwagi. Tłumaczyłem jak mogłem, licząc bardziej na litość niż na usprawiedliwienie się. Długo zastanawiał się, wreszcie rzekł - za ucieczkę rozstrzeliwują. Nie odpowiedziałem. Wachman popatrzył po drzewach, wreszcie nachylił się, wziął sznurek, którym, związane były nogi i zrobił pętlę. Powiesi - przemknęło mi przez myśl. Kiedy podszedł, żeby założyć mi pętlę na szyję cofnąłem się.

– Ruhe - wrzasnął.

Założył pętlę, zaciągnął, następnie uczynił to samo koledze. Wziąwszy oba końce sznurków, przywiązał do roweru. Odetchnęliśmy. Wsiadł na rower i ruszyliśmy z miejsca. Biegliśmy za rowerem nie nadążając. Pomimo związanych rąk podtrzymywałem potykającego się kolegę. Ostatkiem sił

dobiegliśmy do torów. Stał tam nasz pociąg. Zdjął nam pętle z szyi, przeciął nożem sznurek na rękach. Rozejrzał się, następnie dał parę kopniaków, aż poupadaliśmy. Przebiegłszy parę torów znaleźliśmy się z powrotem w pociągu.

Ucieczka nam się nie udała. Nawet nie najedliśmy się. Z powrotem rozpoczęło się życie wagonowe.

Kiedy pociąg zatrzymywał się i wypuszczano z wagonów, starałem się wyskoczyć pierwszy, aby narwać mleczu i pokrzyw, które były podstawowym pożywieniem, ewentualnie zdobyć wodę. Co zdobyłem tym dzieliłem się z najbliższymi, między innymi z Belgiem, Holendrem i Włochem.

Włoch na tyle był zabawny, że jak zobaczył, że wracam z zielskiem i wodą wyciągał ręce ze swego hamaka, żeby coś dostać i mówił.

– Italiano ruhe - żeby podkreślić swoje koleżeńskie zachowanie podczas naszej ucieczki.

Co dzień ubywało paru więźniów. Zdarzały się różne nieprzewidziane incydenty między więźniami. To była walka o życie.

Jednej nocy i nam przydarzył się nieprzewidziany incydent. Jeden z naszych kolegów (Tadeusz Kucewicz z Łap) niesamowicie zaczął charczeć. Obudziłem się i patrzę, że on leży, a na jego głowie siedzi Francuz. Zacząłem go spychać, ale zaparł się o innych i się nie dawał. We dwóch ze Staśkiem staraliśmy się go zepchnąć i wydobyć kolegę. Bez skutku. Do tego Francuz w złości machnął łokciem do tyłu, że rozbił mi nos. To mnie poniosło. Wyciągnąłem schowany nóż i dźgnąłem go w tyłek. Ten zerwał się, jak oparzony, a my w tym momencie wyciągnęliśmy kolegę. Był nieprzytomny. Masowaliśmy i zamaczaliśmy mu twarz wodą. Oprzytomniał. Nawet nie bardzo wiedział co się stało.

– Macie wodę - zapytał - to dajcie się napić.

Rano Francuzi (albo Rosjanin) powiedzieli wachmanowi, że mam nóż. Wachman mnie zbił, ale noża nie znalazł. Miałem schowany pod podeszwą (nóż wykonałem podczas pracy w Zakładach V1 i V2 w Dorze. Zrobiłem go z płaskiej sprężyny stalowej, a trzonek owinąłem taśmą izolacyjną).

Tak pociąg kursował przez parę dni, aż w końcu przez Furstenberg, skierowano do Ravensbrück. Ludzie byli wycieńczeni do granic ludzkiej wytrzymałości. Po przyjeździe otwarto wagony i kazano iść drogą na wprost. Prawie nie pilnowano. Jedni szli chwiejąc się na nogach, drudzy czołgali się w kierunku obozu na "górcie". Tam był cel naszej podróży, która trwała prawie sześć dni.

Z transportu z Dory do Ravensbrück dotarło, około 11 kwietnia 1945 r., prawdopodobnie zaledwie połowa więźniów. Jeśli dobrze pamiętam, jak meldował Rapportführer komendantowi obozu, że w obozie znajdowało się około 1700 więźniów - dokładnej liczby nie pamiętam.